

Świątek Dziecięcy



№ 41.

Bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Dzieci.”

Rok 1911.

BAŻANT.

Wykuł się na ziemi,
w dołku ledwie podesła-
nym źdźbłami trawy.

Pewnego dnia zbu-
dziła się w nim świad-
omość, spostrzegł, że sko-
rupka prześwieca, jał
więc dziobkiem bić moc-
no w to miejsce, aż pęk-
ła i ptaszek ujrzał cuda.

Jakiż świat piękny!
Zapra gnął zupełnie wy-
dostać się ze skorupki
i póty bił dziobkiem, pó-
ty się kręcił, aż prysnęła
i bażancik, ledwie pu-
chem okryty, stanął na
ziemi.

W dołku leżało jesz-
cze kilka jaj, też lada



Jastrząb z góry dopatrzył bażancika.

chwila mających pęknąć. Małe pisklatko ujrzało obok siebie więcej takich pierzastych istotek, jemu podobnych, własnych sióstr i braci. Stara bażancica nawoływała gromadkę i zgarniała razem pod własne skrzydła, by nie zziębły. To było jego dzieciństwo.

Chodził bażancik pod opieką matki w gromadzie szukać żeru, smacznych nasionek, ziarenek, tłustych pędraków i owadów.

Potem uczył się latać. Teraz, gdy dorósł, jest już samodzielny. Wypiękniał. Z okrągłej, pierzastej kulki stał się dużym, smukłym, miedziano-barwnym bażantem, o długim ogonie.

Ach, jaki dumny ze swej urody! Lubi się nią popisywać. Na skraju rzadkiej kniei, gdzie mieszkają, była rozległa woda, zarosła wysokimi trzcinami i tatarakiem. Tam młody bażant lubił na wolnej przestrzeni próbować skrzydeł: cieszył się, że ciemno-złocista jego sukienka tak pięknie lśni się w słońcu.

Stary bażant, który dużo widział na świecie i niejedno polowanie przetrwał, dzięki swej ostrożności, przestrzegał młodziaka:

— Ej, miej się na baczności, zawsze w zaroślach bezpieczniej, niż na otwartej przestrzeni,

strzelec cię dojrzy, jastrząb dopatrzy z góry i ani wiesz, jak postradasz życie!

Bażancik niewiele sobie robił z przestrogi starego bażanta.

— Ot, stary zrzędził z przyzwyczajenia—myślał.

Aż raz, gdy nasz bażancik, zapamiętały w locie, robił jakiś zwrot, coś raptem silnie wpadło na niego, uderzyło i strąciło. Załopotał skrzydłami, chcąc równowagę sobie przywrócić, lecz jeszcze słabo latał, więc jak kula stoczył się w wodę, między gęste trzcinę. Te zwarły się nad nim, niby las dzid najeżonych, broniących przystępu.

Całe też szczęście bażancika, że się zwarły. Boć to sokół napadł na niego w locie, strącił piersią i chciał porwać, ale teraz ani dojrzeć go nie może. Wyteża bystre oczy napróżno. A bażancik przycupnął na wiotkiej łodydze trzcinę, tuż-tuż nad wodą, i siedzi cicho, jeno serce łopocze mu ze strachu. Znużony sokół zatoczył koło i odleciał. Nasz bażancik, gramoląc się ku górze po trzcinie, przysięgał sobie słuchać rad starego, doświadczonego bażanta.

M. J. Karasińska.



TRZY ŻYCZENIA.

Janek z Zosią powracali,
Sprzedawszy ogórków beczkę,
Wtem przy drodze, pod figurą,
Zobaczyli staruszczkę.
Taka drżąca, znać, że chora,
Pewnie głodna i spragniona.
Więc do źródła Janek skoczy,
Co z skalnego bije łona.
Zosia znowu jej oddaje
Bułki w mieście zakupione
I serdecznym mówi tonem:
— Jedzcie, matuś, dobre one!
Stara babcia, nakarmiona,
Tak się ozwie słodkim głosem:
— Jestem wrózką wszechpotężną,
Która rządzi ludzkim losem.
Chciałam was tu wypróbować
I gdy wiem już z doświadczenia,
Że szlachetne macie serca,
Spełnię wasze trzy życzenia,
Pierwsze, jakie wygłosicie.
Przeto się namyślcie długo,
Aby potem nie żałować...
Jestem chętnie waszą sługą,
Ale tylko do trzech razy!
I nagle się gdzieś podziała,
Może w ziemię się zapadła,
Może z wiatrem się rozwiała?...
Jaś i Zosia ucieszeni
Radziby o wszystko prosić,
Pragnienia się cisną masą.
Które pierwsze tu wygłosić?
W domu Zosia przystawiła
Do ognia rynkę glinianą,
Aż tu Janek raptem rzecze:
— Zjadłbym kiszkę podgardlaną!
I w tej chwili, wielkie nieba!
W rynce kiszki duży kawał...
Janek zadrżał z przerażenia,
Sprawy sobie sam nie zdawał,

Że to pierwsze jest życzenie.
Struchlał, oczy zaszyły łzami.
A zaś Zosia, w gniewie skora,
Obrzuca go wymysłami.
Janek słuchał ich... godzinę,
Zosia wciąż nie przestawała...
Wkońcu zrobił srogą minę
I wykrzyknie niecierpliwie:
— Co zanadto, to niezdrowo,
Tyle cierpię za tę kiszkę,
Żem niebaczne wyrzekł słowo,
Ty wymyślasz mi bez miary!
Obyż ci więc kiszka owa
U nosa się uczepiła!
Ledwie wyrzekł to życzenie,
A już kiszka z rynki skoczy
I przyrasta wnet do nosa.
Zosia błędny wzrok zatoczy
I wybucha strasznym płaczem.
Jakże nie być tu w rozpacz, gdy
Gdy u nosa kiszka wisi,
Widzi Janek, co to znaczy
Nie panować nad swym gniewem,
Więc wzruszony łzami Zosi,
Mocno pragnie je ukoić,
I serdecznie wrózkę prosi,
By nieszczęściu zaradziła.
Ot i kiszka na podłodze,
Kładzie Zosia ją na talerz.
— Zamiast martwić się tem srodze,
Żeśmy tak nie skorzystali
Z łaski losu niespodzianej,
Zjedzmy naszych łez przyczynę
I kłótni niepożądanej!
— Siostrzyczko, masz dobrze
[w głowie,
Że nie martwisz się tą stratą.
— Jedz, niech będzie ci na zdrowie!
— Jednak pomyśl, Zosiu droga,
Można było prosić przecie
O bogactwa, o talenty,
O największe skarby w świecie.
— Toby, Jasiu, dziwne było,

Spełniliśmy-ż co wielkiego?
Wszakże wspomódz nieszczęśliwą
Obowiązkiem jest każdego.
Więc uczynek miłosierdzia
Przez nas dwoje wypełniony,
Wart zaledwie tej kolacyi
Suto dzisiaj zastawionej!

Marya Bogusławska.

MADZIA.

Madzia siedzi wśród kwiatów.
Jestto jesień—ta cudna pora
roku, w której nad łąkami wsta-
ją gęste mgły, rżyska i zagajni-
ki lśnią dzień cały od niewysy-
chających ros, a liście na drze-
wach stają się złote i purpurowe.

Kwiatów już coraz mniej. Po
ugorach tylko złocą się suche
kocanki. W ogrodach róże już
opadły, powiędły bratki i lew-
konie. Nadszedł teraz czas zło-
cieni. Na tle zielonych liści roz-
kładają się przepyszne żółte, fio-
letowe i czerwone gwiazdy tych
kwiatów.

Wśród złocieni siedzi Madzia.
Pomimo, że ranek jest pogodny,
pełen słońca i ciszy, pomimo, że
Madzia siedzi wśród kwiatów
i że przed chwilą dostała od
ogrodnika na dużym liściu pysz-
nego, świeżo podebranego mio-
du, pomimo tych przyjemności
Madzia jest smutna.

Ozemu?

Oto wie, że pszczołki bardzo
pilnie musiały pracować, by zro-
bić tę odrobinę wonnego miodu,
którą Madzia przed chwilą zja-
dła. Wszak widziała je całą wio-
snę i lato, jak o każdej porze
dnia obsiadały kwiaty, zbierając
z nich słodycz i pyłek. Teraz,
mimo chłodów i wilgoci, nie usta-
ją jeszcze w pracy.

Oddały więc pszczołki owoc
swej pracy długiej, pilnej, mo-
zolnej.

Madzia pragnie się pszczoł-
kom odwdzińczyć, ale jak?

Nie wie, co by im tu dać i dla-
tego smuci się.

Może im co przeczytać?

Madzia bierze „Świątek Dzie-
cięcy”, siada obok ula na kamie-
niu i zaczyna czytać bajeczkę
„o kotku Burasku, który lepił
dom z piasku”.

Bajeczka to śliczna: czasami
tak wesoła, że aż boki bolą dziew-
czynkę od śmiechu, a czasami
znów tak żałosna, że aż łzy się
jej toczą z oczą.

Zaledwie jednak Madzia do-
czytała do miejsca, w którym to
„pracowity Burasek na pazurku
nosił piasek”, gdy pszczoły wy-
padły z ula wielką gromadą
i bzz!... bzz!... zaczęły tak złośli-
wie nad główką Madzi brzęczeć,
że musiała zaprzestać czytania.

Widocznie bajeczka im się nie podobała. Dziwne to, dziwne... bo przecież historia o Burasku musiała być bardzo ciekawa — nieprawdaż?



Madzia była nią zachwycona — no, ale co innego Madzia, a co innego pszczołki.

Trzeba im się w inny sposób odwdzięczyć, ale w jaki?

Długo Madzia chodziła zafasowana po ogrodzie, zanim wpadła na pyszny pomysł. Narysuje portret jednej z pszczołek i zawiesi go w ulu. Toż to będzie niespodzianka!

I oto siedzi Madzia wśród złocieni i rysuje pszczołkę odpoczywającą na listku.

Pszczołka zapewne wie, co to znaczy, bo muska się, gładzi i czyści, aby wyglądać jak najpiękniej.

Janina Porazińska.

List do Marysi.

Sierpień.

Kochana Marysiu!

Po Twoim wyjeździe było mi bardzo smutno. Nawet nie grałam tego dnia w diabolo, tylko myślałam, co Ty teraz robisz. Zboża już niema wcale na polu, ani chabrów, ani bławatków.

Wszystko już zabrali ludzie do stodół. Ale ciepło jeszcze bardzo. Chodzimy, jak zawsze, codzień na przechadzkę.

W niedzielę pojechalismy do Warszawy. Byłam z mamusią w parku Ujazdowskim. Niebardzo ładnie wygląda. Te upały zrobiły to, że już drzewa żółkną, jak w jesieni, i kwiaty na klombach nie takie śliczne.

Poszliśmy najpierw zobaczyć, która godzina na zegarze, w którym tabliczki z minutami tak ładnie się zmieniają. Mamusia powiedziała, że igła barometru (to także zegar, tylko pokazuje, jaka pogoda będzie) wskazuje na odmianę, a że dziś mamy bardzo piękny dzień, to odmiana znaczy pewnie deszcz. Jak to dobrze, bo na wsi krówki już nie smacznego nie mają do jedzenia.

Potem poszliśmy popatrzeć na łabędzie. Woda w stawie była ogromnie brudna. Tym ślicznym, białym, takim czystym ptakom musi być nieprzyjemnie w niej. Zato szare kaczkki pływały z przyjemnością.

Na trawniku, niedaleko stawu, pokazała mi mamusia na-przód pochylone drzewo, które nazwała płaczącą brzozą. Widziałam także jarzębinę, którą poznaję po czerwonych jagodach. Jakie śliczne byłyby z nich korale! Ze wszystkich drzew naj-lепiej podoba mi się jarzębina.

Nad stawem rośnie także dużo drzew z szaremi, podłużnymi listeczkami. Mamusia nazwała je wierzbami. Jedno z nich mia-ło podobny wygląd do żyrafy, bo gałąź od strony uliczki była tak wydłużona, jakby szyja tego zwierzęcia. Gdyśmy wróci-ły do domu, to mamusia poka-zała mi kilka obrazków z takie-mi dziwnymi drzewami. Na je-dnym z nich było drzewo jeszcze bardziej podobne do żyrafy, niż to w parku Ujazdowskim, i skła-dało się z dwóch gatunków drzew: oliwnego i palmy dakty-lowej. Rośnie w Ameryce. Oglą-dałam także obrazek, na którym wyrasta palma daktylowa z fi-gowego drzewa i oba są prze-śliczne i rosną prosto zupełnie.

Dowiedziałam się także, że czasem nasionko, zanesione przez wiatr, wyrośnie w drze-wo na starem, nieużywanem kole, lub na dachu domu.

Naspacerowawszy się dosyć, usiadłam, by zjeść drugie śnia-

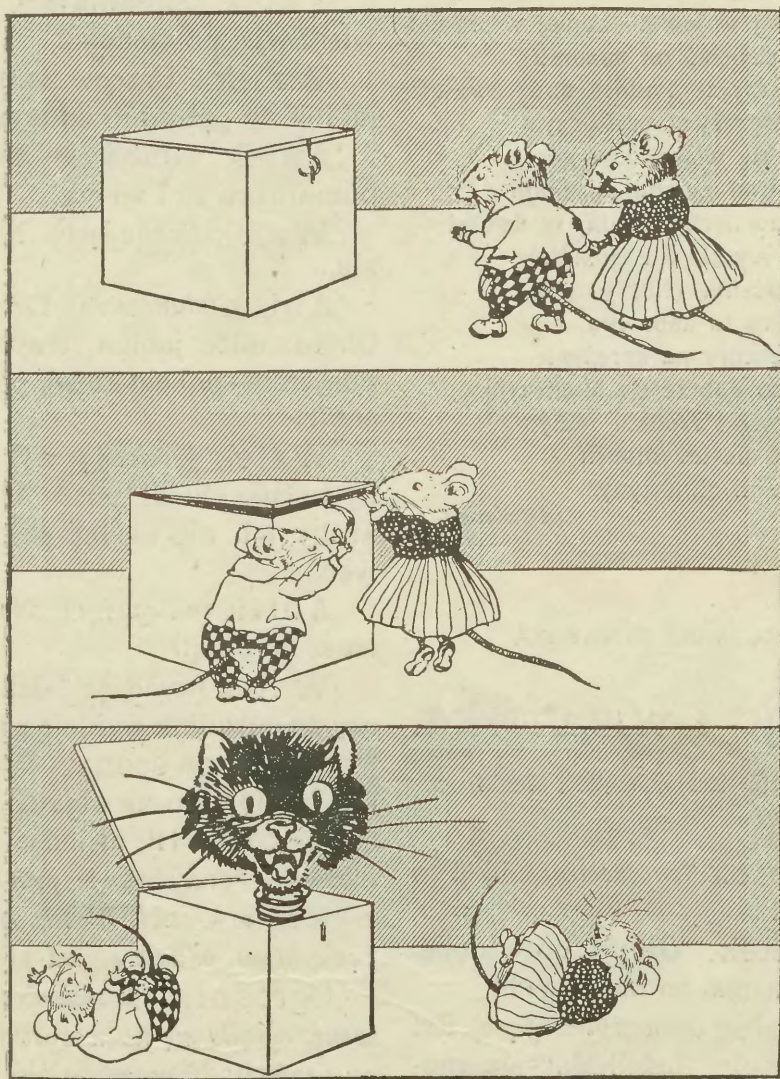
danie. Ale papierek, w który była zawinięta bułeczka, musia-łam zanieść do żelaznego koszy-ka, żeby nie robić nieporządku w ogrodzie.

Byłabym zapomniała Ci na-pisać, że widziałam aeroplany, jak leciały nad Warszawą. Wy-glądało to bardzo ładnie, ale tro-chę się bałam, żeby się tym, co na nich jadą, coś złego nie stało. Mamusia mówiła, że to są bohaterowie. Bohater to to samo, co rycerz, tylko, że nie-koniecznie musi być na wojnie i nikogo nie zabija, tylko się sam dla drugich naraża.

Wieczorem, gdyśmy wracali na wieś, dużo gwiazdek świeci-ło na niebie. Wyobraź sobie, że Tatusz powiedział mi, że jedne z nich mrugają, a drugie nie. Te, które mrugają, nazywają się gwiazdy, a te, które nie, to są większe i jaśniejsze i nazywają się planety. Zapamiętaj sobie to, moja droga, bo musimy o tem lalkom koniecznie powiedzieć. Muszę już Cię pożegnać, bo bę-dę prać sukienki i bieliznę dla nich. Szkoda, że nie mam praw-dziwej wyżymaczki, prędzejbym skończyła. Całuję Cię bardzo serdecznie, a Żolce, Twojej po-cziwej psinie, ściskam mocno łapkę.

Lili.

Państwo Ciekawscy.



Gryzimirka, Węszynosek,
Myszki słynne z ciekawości,
Dnia pewnego zaprosiły
Do swej norki wielu gości.
On spodeńki przywdział w kratkę,
Ona zaś spódniczkę w paski.
Jak też pięknie wyglądają!

Spójrzcie tylko ze swej łaski.
Wyszły myszki do jadalni,
By pozbierać okruszyny
Na przyjęcie, bo to były
Gryzimirki imieniny.
Kręcą się to tu, to owdzie.
Wtem ujrzały małą skrzynkę...

— Co też w niej być może? Nie wiem!
 — No, otwórzmy odrobinę.
 — Tu jest haczyk!—A tu zamek!
 — Ciągnij w lewo!—Lepiej w prawo!
 — Aj, ścisnęłaś mi pazurek!
 — Nie krzycz! Podnoś dalej żwawo!
 Pstryk! sprężyna odskoczyła,
 Uniosło się wieczko w górę...
 — Kot! kot! gwałtu! uciekajmy!
 — Tu, do norki! Tutaj w dziurę!
 Ledwie myszki nie pomdlały
 Z przerażenia, choć jedynie
 Była tylko to zabawka —
 Kot z tektury na sprężynie.
 Wszystko dobrze się skończyło,
 Tylko goście rzadkie miny
 Mieli, bo na imieninach
 Nie było ni okruszyny.

Lublinianka.

ZUZANNA MORAWSKA.

Zając i wiewiórka.

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

Walek (*zgorszony*). Toć to grzech!...

Antek. Głupiś, co w gębę, do jedzenia, to nie grzech!

Walek (*powątpiewając*). Ee!

Antek. Juści! Marysia, moja siostra, ta, co chodzi do pie-
 lenia, mówiła, że ogrodnik po-
 wiedział: „tyle, co do gęby wło-
 zysz, to możesz wziąć!”

Walek (*zdziwiony*). Ee, tak powiedział.

Antek (*zapewniając*). Spra-
 wiedliwie, powiedział!

Walek. Przecie zaraz tyle
 jabłek do gęby nie włożysz...

Antek. Juści, że nie, ale
 pomaluśku to i zjemy!

Walek (*wahając*). No, tak,
 ale...

Antek (*stanowczo*). Co za ale!
 Chcesz mieć jabłka, trzymaj ze
 mną, nie—pal cię sześć, poradzę
 sobie!

Walek (*oblizując się*). Kto-
 by to nie chciał mieć jabłek!...
 ktoby ich nie chciał pokoszto-
 wać...

Antek (*nalegając*). No, trzy-
 masz ze mną!?

Walek (*wahając*). Jak zoba-
 czę, że ogrodnik wyjdzie z sadu...

Głos z za sceny. Ogrodni-
 ku, ogrodniku, na obiad!

Antek. Hi, hi, hi!... dobra
 nasza!... (*przeskakuje przez płot,
 kryje się w krzaki, Walek, trzaska-
 ając z bicia, oddala się od płotu*).

Ogrodnik (*przechodzi przez
 scenę, ogląda się na wszystkie stro-
 ny i mówi*): Niema, dzięki Bogu,
 nikogo, w południe każdy przy-
 misie, to i ja mogę zjeść obiad
 spokojnie! (*wychodzi na prawo*).

(D. c. n.).

Wydawnictwo Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

Redaktor Wacław Podwiński.

Odpow. za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chotoniowska, Kraków, ul. Bonerowska 12.

Kłisze i druk wykonane w zakładach graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.